

KOSTANECKI



ZDZISŁAW DĘBICKI

POWITANIE MORZA

POWITANIE MORZA

ZDZISŁAW DĘBICKI

POWITANIE MORZA



Kolekcja
Emila Kornasia

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LUBLIN — WILNO



CM KEK

317101

1920 — Drukarnia M. Arcta
Warszawa, Nowy-Świat 41.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 48/2012/CM

„Każdemu panu i narodowi więcej na
morskim państwie zależy, niżli na ziem-
skim, bo... kto ma państwo morskie a nie
używa go, albo da sobie wydzierać, wszyst-
kie pożytki od siebie oddała a wszystkie
szkody na się przywodzi, z wolnego nie-
wolnikiem się stawa, z bogatego ubogim“.

Dymitr Solikowski: Rozmowa Kru-
szwicka Piasta z Gościem. — 1573.



POLSKA WRACA DO MORZA. Wraca do burztynowych brzegów Bałtyku, aby objąć w posiadanie nie tylko odwiecznie swoją ziemię, ale i ten przestwór wodny, który do ziemi tej należy.

„Na odległość strzału armatniego”—mówi prawo. Nie. Na dalekość śmiałego przedsięwzięcia żeglarza, jak stwierdza rzeczywistość narodów nadmorskich, których potęga wyrosła na wodzie. Na wodzie leży także i nasza przyszłość.

Przeszłości wielkiej nie mieliśmy tam, bo zbyt wcześnie przebiegłość, zła wola i siła naszych sąsiadów odepchnęły nas w głąb lądu, odbierając naszemu organizmowi państwowemu naturalną jego tchawicę.

W chwili, gdy Polska zrozumiała znaczenie morza, już go nie miała, a przynajmniej nie mogła na niem panować. Została nam tylko daleka legenda o polskiej flotyli wojennej, o banderze polskiej, powiewającej niegdyś na Bałtyku, o tej ręce z mieczem, której miecz wytracono.

Od chwili ostatecznego zagarnięcia Gdańska przez Prusy zaczęliśmy swój żywot bezmorski. Zostaliśmy, jedyni z wielkich narodów Europy, narodem wyłącznie lądowym. I podczas kiedy państwa tak małe, jak Belgja, Holandja, Norwegja, Szwecja, Danja, rosły dzięki morzu, rozwijały swoją politykę kolonialną, bogaciły się i wzmacniały na siłach, my, zamknięci jak w więzieniu, żyjący pod grozą wydarcia narodowi jedynego już tylko oparcia — ziemi z pod stóp, dobywaliśmy ostatnich sił w walce o tę ziemię, zapominając o morzu.

A ono szumiało tymczasem u brzegów polskich polską pieśnią. Zielono-szara fala Bałtyku kładła się codzień na złotych piaskach, pieszcząc je miłownie, pamiętna swojego ślubu z ziemią pomorską. Przychodziła do tej ziemi zdaleka i niosła jej wieść, wyłowioną z głębin o dalekich czasach — o słowiańskiej Rugji, o tajemniczych runach, o walecznych rycerzach i książętach, o Świętopelku i Mestwinie, o królu Chrobrym, o królu Krzywoustym i o królu Łokietku.

Słuchał tej pieśni lud pomorski, wierny swojemu językowi i swojej wierze, ale słuchał jej w smutku i zamyśleniu, bo mu ją głużył świst parowców niemieckich, bo widział dokoła siebie obcych przybyszów,

ciągnących swoje łodzie i sieci do polskiego brzegu i nawołujących się w obcym języku do pracy nad utrwaleniem tutaj swego panowania.

„Precz!“ — huczało czasem złowrogo morze, podnosząc swoje spienione grzywy i rzucając je gniewnie na milczące ławy piaszczyste.

A słysząc to, przybysze zaczęli budować przeciw gniewliwej fali tamy i porty bezpieczne. Zaś morze, o twarde uderzając kamienie, rozbryzgiwało się w białe piany i, zlorzecząc, odchodziło. Nad wybrzeżem unosiły się z krzykiem żalonym mewy, a gdy i one zamilkły, zapadało senne pogodzenie się z losem.

Nocami, niby sygnały czuwania, rozstawione nad morzem, jarzyły się tylko czerwonym blaskiem okna chat rybackich, a przy mdłym płomieniu odzywał się tu i tam pacierz polski, szeptany przed świętym obrazem. Nieśmiało brzmiała cudowna mowa Jana z Czarnolasu, zaklęta w psalm dawidowy i przechowana, jak pamiątka, ukryta przed okiem złodzieja w okutej skrzyni. „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ mówiły usta ufne i modliły się dusze, wierzące w sprawiedliwość.

Ale że „późno miałą młyny bogów“, przeto gwałt bezkarnie panował na wybrzeżu polskim i w morze polskie wbijał słupy niemieckie.

Rodziło się i rosło na ten widok zwątpienie, a słabość korzyła się przed widomą potęgą obcych pancerników, nie bacząc, że jednocześnie czuwa nad wybrzeżem potęga inna, niewidoma, która, gdy zechce, wniwecz obróci wysiłek ludzki, zagwoździ paszcze dział, na miełach osadzi zbrojne okręty lub w bezdni je pograży.

Wiedziało o tem tylko morze polskie, z rozkazu Boga bijące o brzeg polski.

Aż oto wybiła godzina. Przyszedł orkan dziejowy i pługiem wichrów swoich przeorał ziemię wzdłuż i wszerz. Obalił jedno, a dźwignął drugie. I cud się stał, przed którym olśnione stoją oczy naszego pokolenia — najszcześniejszego z szczęśliwych, bo odzyskującego wolną drogę do morza i powracającego w blasku wschodzącego dnia nowych czasów do prastarej swojej dziedziny lechickiej.

MORZE I ZIEMIO POMORSKA! Długo Ojczyzna polska wyciągała do was ręce w tęsknocie, a dzisiaj obejmuje was miłością i do łona swojego przygarnia.

Słyszycie? Słyszysz ty, morze, i ty, ziemio pomorska?

Miljony serc polskich biją radośnie na wasze powitanie, miljony Polaków ślubują wam miłość, silniejszą nad śmierć.

Radują się starcy, raduje się młodzież, radują się kobiety i dzieci. Przez całą Polskę idzie solą prze-sycony powiew, rzeński i płuca rozszerzający.

To morze tak pachnie. To algi morskie tchną takim aromatem.

O, jakże dobrze jest wdychać takie powietrze! Jak rozszerza ono pojemność piersi ludzkich, jakie nowe budzi pożądania! Otwierają się szerzej źrenice i oczy obejmują horyzonty, jakich nie widziały przedtem.

Daleko patrzymy... W pogodne i promienne jutro narodu, w pogodną i promienną przyszłość państwa,

opartego o ląd, a oddychającego morskimi płucami na świat cały.

Otworem przed nami stoją oceany, a przez nie wiedzie droga do ziem wszystkich. Kula ziemską czyni nas swoimi obywatelami. Równoprawni i równo-silni możemy być wszędzie.

Okręt polski, wypływający pod flagą polską z portu polskiego, może przybić do każdego lądu, zrzucić tam ładunek swojej pszenicy i swojego żyta, swojego drzewa, swojego lnu i swojej szczeciny, a zabrać to, co daje Południe i Północ, Daleki Wschód i Zachód.

Tułacze i wędrowce, bezdomni wczoraj, jutro będziemy gośćmi u obcych, którzy w nas uszanują moc i powagę naszego domu, naszego państwa, naszej siły zbrojnej.

Marynarz polski, od chłopca okrętowego chłostany słonym wiatrem, obryzgiwany wodą, ogorzały na słońcu, wyrośnie na innego człowieka i stworzy nowy typ Polaka o szerokiej klatce piersiowej i o szerokiej duszy.

Młodzież nasza z ciasnych i dusznych miast, z ubogich osad i wsi pójdzie na morze pić oczyma przestrzeń i zdobywać świat nowy i ciekawy. Nie z książki go pozna, ale z własnych doświadczeń i przeżyć. Czerwone linje na mapach i czarne kółka nie będą już dla niej umówionymi znakami, ale prawdą i życiem.

Wszystko, co mają cennego obie półkule w dziedzinie cywilizacji i w dziedzinie kultury, stanie się naszym dobrem przez umiejętne patrzenie i przyswajanie. Wyśłańcy narodu pójda wszędzie i zaświadcza wszędzie o istnieniu narodu, o jego pracy, o jego

nieugiętej woli budowania sobie przyszłości niezależnej i wielkiej.

To, czego zazdrościliśmy innym narodom, ze wstydem patrząc na naszą własną małość i nędzę, stanie się teraz naszym udziałem, naszym wyjściem „z domu niewoli“ na szeroką przestrzeń.

Witajże nam, morze, drogo do wolności, rozfalowany, nieobjęty okiem, cudowny gościńcu w świat, w przyszłość!



My, Polacy, znamy morze przeważnie ze strony jego rozkoszy — i to nie wszyscy, znają je bowiem tylko warstwy, używające życia.

Pełno ich było przed wojną na „jasnym brzegu“, zapatrzonych w błękit zatoki Liguryjskiej i wsłuchanych w tajemniczy poszum fali, idącej zdaleka. Szczęśliwcy wygrzewali się tam na słońcu, tęsknili, marzyli i wypoczywali poniedoznaczonych nigdy trudach, bo „jasny brzeg“ był przywilejem nie pracy, ale bogactwa.

Jednocześnie lud polski, ten zabiegliwy i pracowity lud, którego „ziemia polska, tak bogata“ wyżywić nie mogła, poznawał morze na „Zwischendeckach“ ohydnych, brudnych statków, obsługujących niemiecko-

żydowsko-amerykańskie towarzystwa emigracyjne i przewożących jak najtańszym kosztem, a jednocześnie z jak największym zyskiem dla siebie setki tysięcy wychodźców polskich za ocean, aby na tamtejszych rynkach sprzedać siłę ich mięśni.

W takich warunkach lud polski nie mógł morza pokochać. Tyle chyba, że przestał się go obawiać, że miał większą odwagę podróży zamorskiej, niż warstwy oświecone i zamożne, które, zadomowione na lądzie, miały obawę „wielkiej wody“.

Częściej też w Polsce można spotkać Kurpia albo Podhalanina, który był w Ameryce i kilka razy przebył ocean, niż człowieka warstw innych, mającego za sobą wielką podróż morską, chyba, że tą podróżą była wycieczka „po zdrowie“ do Egiptu lub przejażdżka dla przyjemności po portach morza Śródziemnego.

W handlu światowym nie braliśmy udziału, więc nawet Ahaswer świata nowoczesnego, komiwojażer, snujący się z lądu na ląd, rzadko kiedy bywał Polakiem. Zastępował go Niemiec, Amerykanin, Anglik, wreszcie Żyd, który ciągnął do New-Yorku i Argentyny.

Nas, wykreślonych z mapy politycznej Europy, przez całe stulecie brakło na lądzie. Tem bardziej więc brak było Polski i Polaków na wodzie.

Odrzucona od morza, pozbawiona Gdańska, opasana potrójnie skutą, mocną obręczą rosyjsko-prusko-austriackiej niewoli, Ojczyzna nasza dusiła się w swoich sztucznych granicach, traciła oddech, zapadała w ekonomiczną niedokrwistość i rada była, że wolno jej było jeszcze orać, siać i zbierać na własnej ziemi.

Uwsteczniiona w swoim życiu gospodarczem, pozbawiona możności rozstrzygania o tem, co dla rozwoju tego życia jest pożyteczne, a co wrogie, z bólem patrzyła na mnóstwo swoich sił, leżących odłogi lub marnowanych w mało produkcyjnym wysiłku, i z zazdrością przyglądała się rozrostowi państw i narodów wolnych.

Pod boki jej mnożyły się bogactwa Rosji, pod boki jej Niemcy stawały się z roku na rok coraz potężniejszym mocarstwem morskim i kolonialnym i szły z hasłem „Przyszłość nasza leży na morzu“ po coraz nowe zdobycze aż na Pacyfik, do japońskiego dzisiaj Kiao-Czau.

W oczach jej niedawno zjednoczone Włochy nabrały rozpędu do wielkiego życia państwowego i do wielkiej ekspansji narodowej, śmiało wyciągającej rękę po Abisynję i po Trypolis.

Wszędzie wrzało życie, wszędzie był ruch, krzątanie się, współzawodnictwo — w jednej tylko Polsce panowało przygnębienie.

Naród żył, ale nie miał tej niezbędnej dla pełnego rozwoju swojego świadomości, że sam sobie życie tworzy, że je ulepsza z myślą o przyszłości, o dostatku i o potędze pokoleń jutrzejszych.

Wydeptywaliśmy stare ścieżki i przystosowywali się do wymagań życia nowoczesnego i do nowoczesnych jego form tylko o tyle, o ile to nie było sprzeczne z interesami panujących nad nami narodów.

A sprzeczne było właśnie to, co z największymi dla nas związane być mogło korzyściami.

Sprzecznym więc był przedewszystkiem rozwój samodzielny naszego przemysłu i handlu.

Do stworzenia podstaw dla tego rozwoju nie dopuszczono. Rosja zaprzęła nas do cywilizowania Dalekiego Wschodu, w tamtą stronę pchając polską inicjatywę przemysłowo-handlową, zaś Niemcy i Austria do przemysłu i handlu polskiego zgoła nie dopuścili, trzymając się ściśle polityki imperjalistycznej, która ziemię „zdobyte“ uznała za ziemię, powołane jedynie do taniego produkowania zboża i żywienia tem zbożem uprzywilejowanych pod każdym względem centrów państwowych.

Byliśmy otoczeni, osaczeni, zdławieni, wydani całkowicie na łup obcej woli.

Aż oto przyszła chwila, w której obroża nasza pękła. Jesteśmy już rozkuci, jesteśmy już wolni i, jako równi innym, wchodzimy do wielkiej rodziny narodów świata.

W takiej chwili odzyskanie utraconego niegdyś dostępu do morza, umocnienie się nad tem morzem i posiadanie tam własnego, niezależnego od nikogo punktu wyjścia na szeroką, międzynarodową drogę handlu, a tem samem cywilizacji i kultury, jest dla nas sprawą wagi najpierwszorzędniejszej.

Dzisiaj, kiedy to już stało się faktem, możemy ufać, że będziemy narodem wielkim, zdolnym do wszechstronnie pojętego życia na sposób nowoczesny, że nie będziemy już po dawnemu dusili się i ginęli, zdani na łaskę i niełaskę sąsiadów.

Morze jest bowiem najważniejszym czynnikiem naszego rozwoju.

Ku niemu idziemy nie tylko całą siłą rozumu, opartego o ścisły rachunek ekonomiczny, ale i całą tęsknotą naszej zbiorowej duszy narodowej, która o stulecia za późno przekonała się, że *narodowi sam ląd nie wystarcza*.

Argumentów do uzasadnienia tej tezy szukać należy nie tylko w stratach ekonomicznych, ale i w brakach naszego charakteru narodowego.

Jeżeli imponują nam dzisiaj inne narody, jeżeli podziwiamy przedewszystkiem hart woli i zdolność do wysiłku w rasie anglosaskiej, jeżeli mówimy na serjo o potrzebie *anglizowania* się i *amerykanizowania*, aby zostać narodem nowoczesnym, to nie zapominajmy o tem, że Anglik i Amerykanin zawdzięcza swoją dzielność morzu.

Ono wytworzyło ten typ ludzi twardych, umiejących spojrzeć w oczy każdemu niebezpieczeństwu i zdolnych do przewycięzania wszystkich przeszkód. Ono dało im także szeroką klatkę piersiową, jasne i bystre oko i żylaste ramiona.

Takich ludzi w Polsce niema. Anglicy i Amerykanie górują nad nami energją i wolą. Nic więc dziwnego, że byliśmy wobec nich „szczurami lądowymi“, narodem powołanym do dostarczania Zachodowi tylko taniego robotnika — niczego więcej.

Nie znaczy to jednak, abyśmy istotnie stanowili w porównaniu z innymi rasę niższą. Tak nie jest.

Tylko rozwój nasz był niezupełny i brak w nim było tak potężnego, jak morze, czynnika kształcącego.

Od czasów, kiedy Pomorze polskie przestało być naszym pomorzem, kiedy, odepchnięci od Bałtyku, nie umieliśmy go zdobyć i opanować, nie walczyliśmy z morzem już nigdy więcej.

W okresie największego rozkwitu Rzeczypospolitej wyręczał nas w tej walce Gdańsk. On ją za Polskę prowadził i on zgarniał zato złoto do skrzyń swojego, gdańskiego patrycjatu.

Rozumiały wprawdzie polityczne i handlowe znaczenie morza dla Polski w. XVI i XVII, ale utraczonych w zaraniu dziejów dóbr nie odzyskały. Ani Zygmunt August, ani Batory, ani Władysław IV „panowania“ na Bałtyku Polsce nie dali. Morze to zdobywali dla siebie krzyżacy, Duńczycy, Szwedzi, wreszcie Moskwa, która od Iwana Groźnego już się na jego wodach znalazła z własną flotą, a od Piotra Wielkiego zaczęła tam być siłą o zdecydowanym znaczeniu politycznym.

Przyszła wreszcie dla Polski okres zmierzchu. Potęga jagiellońska rozpadła się i kruszyła przez dwa stulecia, aby pod koniec wieku XVIII-go runąć z resztkami wiązania państwowego w przepaść rozbiorów.

Wówczas to jedyne okno polskie na świat zostało zamurowane i Gdańsk odpadł od Polski.

Nie odzyskujemy go jeszcze i dzisiaj — wbrew nadziejom i wbrew historycznemu prawu naszemu. Ale

jesteśmy już u brzegu morza. Mamy swoje wybrzeże, swoich 78 klm. granicy morskiej! Swój Puck!

Staje się to w chwili, kiedy w Polsce niema nikogo, kto nie rozumiałby i nie doceniał olbrzymiego znaczenia, jakie dla naszej przyszłości narodowej ten fakt posiada. Odzyskujemy płuca, odzyskujemy oddech, odzyskujemy wolność i życie.

Z radością też idziemy ku *naszemu* morzu i gotowi jesteśmy do ofiar, jakich ono zażąda od nas. A wiemy, że ich zażąda. Wiemy, że każdy naród płaci mu od wieków haracz, że nie pofolguje ono nikomu i swój podatek ludzki zawsze odbierze.

Iluz marynarzy, ilu bohaterów śpi snem wiecznym na dnie mórz i oceanów? Ich to życia ofiarą okupiły narody nadmorskie panowanie swoje na wodzie.

I nasza, polska przyszłość leży od dzisiaj na wodzie. I nas czeka walka z morzem.

Idziemy jednak tam, ku bursztynowym brzegom Bałtyku nie z obawą, ale z radością w sercach. Wracamy, jak synowie marnotrawni, którzy obiecują poprawę, bo mądrość nieszczęścia przynoszą z sobą.

Chcemy tam pracować, walczyć, zmagać się z żywiołem i poddawać go swojej władzy; chcemy wychować i wykształcić na jego brzegach nowy gatunek Polaków, silnych i dzielnych, śmiałych i przedsiębiorczych, zdrowych i nieznających trwogi przed niebezpieczeństwem.

Chcemy się stać narodem żeglarskim, narodem, który potrafi z dumą rozwinąć swoją banderę z lite-

rami S. P. Q. P. (SENATUS POPULUSQUE POLONUS) na wszystkich morzach i oceanach i wzbudzić dla niej przyjaźń i szacunek narodów innych.

Musimy jednak na tę przyjaźń zasłużyć, na ten szacunek zapracować.



Dwa są tylko wielkie nazwiska polskie, zapisane w dziejach żeglugi: Jan z Kolna, odkrywca Grenlandji, poprzednik Kolumba, i Jan Potocki, którego imię nosi jeden z archipelagów na Dalekim Wschodzie.

Poza tem nie mamy za sobą czynów wielkich na morzu. Nie mamy ani polskich wypraw odkrywczych, ani polskich triumfów batalistycznych na miarę większą. Przeszłość nie zostawiła nam w puściźnie po sobie nic więcej oprócz legendy o Wizymirze, który „chwycił floty duńskie na Bałtyku“, i oprócz krótkotrwałej rzeczywistości polskiego panowania na tem morzu, w czasie, gdy, jak stwierdzają dokumenty, Polska, „samochcąc ogromne straciła korzyści, pozwa-

lając bogacić się swoim kosztem księciu królewickiemu i Gdańskowi“. Wkrótce jednak i sierpinkowe *) i spiryngowe **) czyny poszły w niepamięć.

Nie odziedziczyliśmy więc tradycji morskich, na których mogłyby się kształcić pokolenia następne tak, jak kształci się każde dziecko angielskie, od młodu wpatrzone w spokojną, męską, w bronz zastygłą twarz Nelsona, przypominającego narodowi, aby każdy Anglik spełniał swój obowiązek, to znaczy, aby, gdy trzeba, poszedł na dno, jak kapitan Smith ze swoim „Titanikiem“, rzucający ginącej załodze z mostku kapitańskiego przez tubę ostatni rozkaz: „Be British!“ (bądźcie Brytańczykami!), albo, jak kapitan Scott, umierający pod biegunem z głodu i zimna, w osamotnieniu i w pustce, i w notatniku swoim zapisujący półmartwą już ręką słowa miłości dla ojczyzny i miłości dla prawdy, w których imię życie oddawał bez skargi na los, bez jednego słowa żalu na przedwczesną śmierć. Takich bohaterów ma Anglja legion—od admirałów do prostych marynarzy.

Długi jest różaniec ich imion—od czasów najdawniejszych po dzieje wojny obecnej, którą wielkobrytańska flota wojenna i handlowa wygrała w ogromnej części, bez jej bowiem współdziałania, bez blokady, bez walki z minami i z łodziami podwodnymi nie byłyby możliwe rozstrzygające działania na lądzie.

*) Tomasz Sierpinek, admirał polski w wieku XVI-ym.

**) Arnst Spiryng, poborca ceł królewskich na morzu, bohater z pod Piławy w r. 1637-ym.

A obok tego, co mówi historia, co zawiera każdy podręcznik, każda książka angielska, zaczynając od elementarza, na którym dziecko uczy się składać pierwsze litery, ileż jest nie pisanej, żywej tradycji w każdej rodzinie, pod każdym dachem angielskim?

Ileż rozmów o morzu w zacisznych gabinetach bogaczy w *City* londyńskiej i wśród robotników portowych, wśród lordów i wśród rybaków?

Wszędzie brzmi jeden wyraz: „morze“, powtarzany w ciągu dnia przez ludność całego państwa częściej, niż jakikolwiek wyraz inny, częściej, niż wyraz „pieniądz“ i niż wyraz „miłość“, będące na całym świecie w największym obiegu.

W jednej Anglji góruje „morze“ nad „pieniądzem“ i nad „miłością“, bo ono dla Anglika jest wszystkim. Ono daje mu pieniądz i ono przywiązuje go do siebie uczuciem najsilniejszym w życiu. Tem samym uczuciem kocha on matkę i kochankę. Ale i matka i kochanka ustępują morzu, gdy ono zawoła, gdy ono rozkaże.

W tem najwyższym przywiązaniu do żywiołu, który dał ojczyźnie bogactwo, siłę, panowanie nad światem, wychowuje się każdy Anglik od chwili, kiedy zaczyna rozumieć życie swojego narodu, ducha swojej rasy, kiedy, przeczytawszy Robinsona Kruzo, poczuwa się sam Robinsonem na wyspie nieznanego losu, gdzie wszystko musi dla siebie zdobyć własną przedsiębiorczością, własną energją, pracą i cierpliwością, umiejętnem zwalczaniem przeszkód i wysiłkiem indywidualnym.

Tych zalet, takiego wyrobienia charakteru wymaga od niego morze — doskonały mistrz, surowy nauczyciel, niezrównany krytyk wszystkich słabości ludzkich, wystawiający ciągle na próbę wolę, trzymający ją w naprężeniu i posuwający odpowiedzialność człowieka za życie cudze i własne do najwyższych granic.

Ono szumem fali swojej mówi marynarzowi nieustannie i w dzień i w nocy: „czuwaj!“ „nie usypiaj!“ „badaj moją głębię przepastną i patrz w gwiazdy, szukając drogi na moich przestworach, bo jedno uchybienie, jedno zmrużenie powiek — to śmierć i zagłada“.

Ono, dla którego najpotężniejszy statek, dzieło geniuszu ludzkiego, jest igraszką, panuje niepodzielnie. Gdy zechce, zrywa stalowe blachy pancerza, druzgocze maszty, obezwładnia maszyny, osadza na mieliznach i rzuca na skały. Władzy swojej nie zrzeka się nigdy, *pozwała* tylko łaskawie się zwycięzać.

Ruchliwe, zmienne, nawołujące głosem kuszącym, zawsze jest zdradliwe, zawsze niebezpieczne, nigdy pewne.

To wygładza się pieszczotliwie, to marszczy, to błyszczy złotem lub srebrem dni słonecznych i nocy miesięcznych, to posępnieje, gubiąc swój błękit i swoją zieloność w ponurej czerni.

A grozi zawsze — i spokojem i burzą.

Samowładne, jak despota, hojnie przecież wynagradza tych, którzy są mu wierni, którzy kochają go więcej, niż własne życie; tym daje złudzenie, że ulega ich ludzkiej woli, że im się daje ujarzmić.

Za miłość płaci miłością. Kocha silnych, odważnych, śmiałych.

Kocha ludzi o nerwach mocnych, skręconych, jak powrozy okrętowe, przesyczone solą i wodą.

Nienawidzi słabych, bojaźliwych, miłujących bezpieczeństwo i spokój. Drwi z nich i zabija ich własną ich trwogą.

Do służby swojej nie powołuje wszystkich — wybiera, brakuje. Ale, gdy raz wybierze, wiązuje z sobą ślubem wiecznym.

Zaślubiny takie z morzem wziąć musi każdy marynarz. Gotuje się dzisiaj do nich marynarz polski. Morze już patrzy na niego i już go sądzi, już bada siłę jego duszy i siłę jego miłości. Pyta, z jakim Polskę przychodzi do niego uczuciem i z jaką wolą?

Musimy dać na to odpowiedź i sercem i twórczym pracy wysiłkiem.

* * *

Każdy Anglik wie, że ma *za sobą* historję, która go podtrzyma i nauczy.

Każdy Polak musi wiedzieć, że ma historję *przed sobą*, że ona czeka na niego, aby przyszedł i czynił.

Historję naszą na morzu będziemy dopiero tworzyli. A twórcą jej będzie świadoma wola narodu, której wykonawcą ma być *marynarz polski*.

Skończył się nasz sen dziecięcy. Marzenie urzeczywistniło się.

Wczoraj jeszcze dziecko polskie puszczało na stawach i kałużach łupiny z orzecha z żaglem papierowym na drewnianym. To były jego okręty. Wczoraj jeszcze nakręcane śrubowce blaszane, zrobione w niemieckich fabrykach zabawek z napisem „Imperator“ albo „Wilhelm II“, stanowiły całą flotę handlową i wojenną narodu polskiego.

Innej floty nie mieliśmy, nie mogliśmy mieć.

Jakąż zmianę przynosi nam dzień dzisiejszy — dzień objęcia przez Polskę Pomorza, dzień, w którym *poliska dynizja morska* stanie u brzegów polskiego morza i obejmie straż nad niem? Odtąd każdy chłopiec polski przejść może od zabawki do rzeczywistej żeglugi, od stawu czy kałuży do *Morza*.

Nie broń mu tego, ojczu! Nie broń mu tego, matko! Nie obawiajcie się o niego, nie sądźcie, że grozi mu na wodzie większe niebezpieczeństwo, niż na lądzie.

Jeśli go morze woła ku sobie, puśćcie go. Niech idzie!

Niech pierś swoją poda wiatrom! Niech okiem obejmie daleką, szeroką, niezmierzoną przestrzeń wodną, oddychającą przedwiecznym rytmem i dającą człowiekowi poznać równoległe: nikłość swoją wobec żywiołu, czyhającego na jego zgubę, i własną potęgę żywiołu tego ujarzmiela.

Te dwa sprzeczne uczucia są źródłem największej siły duchowej. One są istotą *człowieczeństwa* w człowieku, bo, dając mu świadomość małości wobec Boga i Natury, upajają go jednocześnie boską rozkoszą

zwycięstwa i panowania nad Naturą, czyli: *Bogu czynią go podobnym*.

A nam, Polakom, jakże takiej rozkoszy potrzeba! Jak długo czekaliśmy na nią i jak głodni jesteśmy poczucia swojej siły i triumfu, wyzwającego boski pierwiastek naszej rasy.

Puść więc, ojczu, puść, matko, syna swojego na morze! Niech je pokocha, niech idzie w jego służbę, bo to jest służba dla Ojczyzny na rozszerzonym naturalnie jej obszarze.

Pływającym terytorjum, pływającą Ojczyzną jest według prawa okręt na morzu. Kto stąpi nogą na jego pokład, tak jakby stąpił nogą na ziemię. Ziemi tej cieszy się wolnością i ziemi tej jest obywatelem albo gościem. Ile więc przybędzie okrętów polskich na morzu, tyle przybędzie Polski samej. Rozszerzy się ona i rozrośnie na wodzie, nikomu tem uszczerbku ani krzywdy nie czyniąc, bo morze jest dla wszystkich. Niechże więc syn wasz będzie *rozszerzycielem Ojczyzny*, pracującym dla jej wzrostu, niech biało-czerwone barwy chorągwi polskiej rozwija na oceanach i niech uczy rozpoznawać je na dalekich lądach.

Na polskim okręcie wojennym, na polskim torpedowcu, na polskiej łodzi podwodnej, na polskim statku handlowym niech pracuje, niech zмага się z niebezpieczeństwami, niech zwycięża i raduje się ze zwycięstw swoich.

A tęsknie patrząc ku lądowi, gdzie wśród zieleni drzew stoi jego dom rodzinny, gdzie bocian klekoce nad strzechą, a wśród młodych zbóż zrywa się z pieś-

nią ranną skowronek, niech pamięta na bezmiarach morskich, iż czeka go słodki za powrotem wypoczynek, stokroć słodszy dla tych, którzy wracają zdaleka i spragnieni są Ziemi.

Wówczas siądzie wśród was i w opowieści swojej o dziwach morza i o dalekich podróżach da początek polskiej tradycji morskiej, na której wychowywać się będą przyszłe pokolenia, szerokim oddechem obejmujące świat cały.

Bądź pozdrowiony, MARYNARZU POLSKI! Bądź pozdrowiony, wolny żeglarzu, który pierwszy na statku polskim odbijesz od lądu i pójdziesz wolność ziemi twojej zwiastować oceanom!

Do niedawna jeszcze obcym wysługujący się państwowom, pod obcą pływający flagą, w obcy, wrogi przybrany mundur, dzisiaj pod banderą ojczystą, radośnie wyruszający w świat!

Niech cię fala rozkołysana niesie na swoim grzbiecie, niech morze śpiewa ci swoją pieśń, niech gwiazdy, przewodnice żeglarskie, wskazują ci drogę dobrą — drogę chwały i szczęścia Ojczyzny!



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317101



000-317101-00-0

